

Rozdział I

Była jesień, rok 1956. Przedmieścia Atlanty w stanie Georgia, zamieszkiwane głównie przez mniejszości rasowe, ale nie tylko. W dużym, jednorodzinным domu, który z zewnątrz sprawiał wrażenie opuszczonego, mieszkała młoda, dwudziestosiedmioletnia kobieta. Elizabeth Mitchell żyła tam sama od dnia, w którym osiągnęła pełnoletniość. Gdy miała siedem lat straciła oboje rodziców, a traumatyczne wspomnienia związane z tym wydarzeniem na zawsze odmieniły jej charakter. Stała się bardziej zdeterminowana i wytrwała. Zaczęła zadawać pytania, chcąc na wszystko znaleźć racjonalne wyjaśnienie, a gdy takiego nie było drążyła sprawę głębiej, aż do jej rozwiązania. Ten właśnie ośli upór był jednym z głównych powodów, dla których została prawnikiem.

Wychowywana przez ciotkę, która nigdy nie miała dla niej czasu, większość dni spędzała w bibliotekach, niż w domu. Miała jedną, oddaną przyjaciółkę Margaret McAllister, która zawsze ją wspierała i jako jedyna potrafiła przemówić jej do rozsądku, gdy ta za często uciekała do swojego własnego świata.

Sobota rano. Trel ptaków wpadał do niewielkiego, białego pokoju przez uchylone okno, tym samym budząc jego zmęczoną lokatorkę. Pokręciła zrezygnowanie głową i niechętnie odrzuciła z niej poduszkę. Oślepiła ją jaskrawa łuna światła, wpadająca do pokoju przez dziurawą firankę. Przetarła oczy i kilka razy zaklęła cicho pod nosem. Skopała z siebie zieloną, puchową kołdrę, nagrzaną od ciepła jej ciała i od razu uderzyła w nią fala zimnego powietrza. Podniosła się do pozycji siedzącej i przeczesła ręką brązowe włosy do ramion, powykęcane każdy w inną stronę. Chciała jeszcze chociaż na chwilę zasnąć. Odpłynąć w marzenia, których nic nie mogło jej zrujnować. Spojrzała na stary zegar wiszący na ścianie naprzeciwko jej łóżka. Wskazywał ósmą. Za godzinę powinna być już w biurze, a nie miała najmniejszej ochoty na opuszczanie domu. Zrezygnowana wstała i rozsunęła firanki, pozwalając złocistemu światłu słońca okryć całe jej ciało. Nie miała ani chwili do stracenia, dlatego od razu skierowała swoje kroki do łazienki. Krótka toaleta i dziesięciominutowe rozczesywanie skołtunionych loków nieco ją ożywiło. Zbiegła na dół planując zjeść porządne śniadanie, ale wtedy zdała sobie sprawę, że nie ma już na to czasu. Pochwyciła więc jabłko, które planowała skosztować podczas drogi, wypila szklankę soku pomarańczowego, założyła przygotowane dzień wcześniej ubrania i była gotowa do wyjścia. Miała piętnaście minut na dojście do celu. Na szczęście budynek nie znajdował się zbyt daleko od domu. Zaledwie kilka przecznic, które pokonywała stosunkowo szybko.

Pracowała w firmie prawniczej ojca Margaret. Była jednym z lepszych adwokatów, co sprawiało, że miała dużo klientów. Od jakiegoś czasu jednak nie przyjmowała spraw, które z góry była w stanie skazać na porażkę. Nie chciała nawet czytać akt. Uważała, że nie może ryzykować uszczerbku na swojej karierze, tłumacząc sobie, że gdyby przegrała mogłaby mieć na sumieniu czyjeś być może niewinne życie. Mimo wszystko zawsze polecała innych, godnych zaufania prawników, którzy z powodu mniejszego prestiżu przyjmowali zlecenia.

- Za dwie dziesiąta. – Przywitała ją radosnym uśmiechem portierka, siedząca za biurkiem na parterze budynku.

- Jak zawsze na czas. – Odpowiedziała, machając jej ręką, ale nie zatrzymała się na dłuższą pogawędkę. Wiedziała, że szef chce ją widzieć. Wiedziała, że ma jej coś ważnego do powiedzenia. W głębi duszy liczyła, że chodzi o awans. Marzyła o przyjęciu jej do spółki, ale nie była pewna czy nie są to tylko jej chore fantazje.

Stała przed drzwiami gabinetu szefa i poprawiła szarą garsonkę. Chciała prezentować się jak najlepiej. Zapukała. Nie czekając na odzew weszła do środka.

- Witam panie McAllister. Margaret wspominała wczoraj, że chciał mnie pan widzieć.

Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o siwych już włosach uśmiechnął się delikatnie pod wąsami i ruchem dłoni wskazał na białą sofę stojącą pod ścianą. Zrobiła krok w jej stronę, a stukot obcasów odbił się echem od ścian. Zajęła miejsce wyczekując tego ważnego komunikatu.

- Elizabeth... słyszałaś może o sprawie Carlsona? – Zaczął po kilku chwilach milczenia. Patrzył na nią wyczekująco, a ona starała się przypomnieć sobie wszelkie informacje, które pamiętała na ten temat.

- Oczywiście.

- Co o niej wiesz?

- Tyle, co napisali w gazetach. Bratanek ważnego urzędnika, który adoptował go po śmierci brata i jego żony zamordował swoją dziesięcioletnią siostrę. Dość przykra sprawa. – Odpowiedziała.

- Nie tylko zamordował, ale też zgwałcił. Dziewczynka została zgwałcona, a następnie wielokrotnie pchnięta nożem. Całe zajście widział jej rodzony brat, który zawiadomił policję. – Uzupełnił resztę informacji.

Dziewczyna kiwała głową, dając do zrozumienia, że słucha, ale nie bardzo rozumiała, co ona ma z tym wspólnego.

- Oskarżony ma dwadzieścia lat. Jest afro Amerykaninem. Jego ojciec związał się wbrew woli rodziców z murzynką, za co rodzina się od niego odwróciła. Gdy dzieciak miał pięć lat, ojciec z matką zginęli w wypadku samochodowym, a on został adoptowany przez wujka, który prawdopodobnie zrobił to tylko dla rozgłosu i uznania mediów. W każdym bądź razie chłopak chce, żebyś go broniła.

Elizabeth szerzej otworzyła oczy, jakby nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszała.

- Z całym szacunkiem, ale przecież ta sprawa nie ma sensu. Jest naoczny świadek, dowody. Chłopak zostanie skazany na karę śmierci. Nie widzę, żadnego celu w...

- Przy dobrej linii obrony sąd skaże go na dożywocie. Jeśli się nie zgodzisz przydzielę mu obrońcę z urzędu, a wiesz, że wtedy jego szanse spadają poniżej zera.

- Wiem.

Zacząła zastanawiać się nad tym, dlaczego właśnie ona. W Atlancie były przecież dziesiątki innych prawników, a on wybrał sobie właśnie ją. Sprawa była opisywana w wielu gazetach, więc zapewne jej porażka również obilaby się wielkim echem nie tylko w mieście, ale również w całym stanie. Nie chciała do tego dopuścić.

- Proszę mi wybaczyć, ale chyba nie zdołałabym w żaden sposób pomóc temu chłopcu.

McAllister zapalił papierosa i przyglądał się jej lustrującym wzrokiem.

- Jesteś naszym najlepszym prawnikiem, jeśli to wygrasz, czeka cię jeszcze większa kariera. – Starał się ją jakoś zachęcić.

- Niestety, jeśli przegram czeka mnie wielka porażka. – Odpowiedziała bez ogródek.

Mężczyzna westchnął głęboko i ze zrezygnowaniem pokręcił głową.

- Możesz chociaż zapoznać się z aktami? Dostarczono nam je dziś rano

To mówiąc podał jej gruby plik kartek formatu A4, które od góry do dołu zapisane były niewyraźnym charakterem pisma.

- Oczywiście, ale już teraz mogę powiedzieć, że moja odpowiedź brzmi „nie”.

Po tych słowach wyszła i skierowała się do swojego gabinetu, znajdującego się na drugim końcu korytarza. Gdy weszła do środka rzuciła akta na biurko, ale nawet nie miała zamiaru ich przeglądać. Obok fotela, na którym siadła stało duże, tekturowe pudło, w którym piętrzyły się stosy kartek. Czekало na nią wiele spraw, a ona nie miała czasu na te, o których wiedziała, że są bezsensowne. Zadzwońiła więc do jednej z rodzin oferując spotkanie, na którym mogłaby omówić ewentualną współpracę. Umówiła się z nimi w porze obiadowej.

Margaret szła długim, wąskim korytarzem pełnym ludzi. Każdy coś robił. Wszyscy byli zajęci swoimi własnymi sprawami. Ona również miała ich wiele na głowie, jednak tego właśnie dnia zdecydowała, że to wszystko może poczekać. Zdecydowała, że najpierw musi zająć się kimś, kto kiedyś był najbliższą jej osobą. Zdecydowała, że musi pomóc Elizabeth wrócić na właściwą drogę. Weszła do jej gabinetu nawet nie marnując czasu na pukanie.

- Witaj, Lizzie. – Zaczęła pełnym zrównoważenia głosem. Delikatnie zamknęła za sobą drewniane drzwi i usiadła na czarnym fotelu, znajdującym się przy biurku. Rozejrzała się dookoła, zabierając przy tym myśli.

- Margaret, szczerze mówiąc nie mam teraz za dużo czasu na pogawędki. Za pół godziny mam spotkać się z moim nowym, potencjalnym klientem, więc chyba sama rozumiesz. – Odezwała się w końcu Elizabeth, podnosząc wzrok na przyjaciółkę znad grubego pliku kartek.

- Podjęłaś się tej sprawy? Sprawy Carlsona?

Na chwilę zapadło niezręczne milczenie. Atmosfera zdawała się zgęstnieć na tyle, że można by ją kroić nożem.

- Nie Marg, nie wzięłam jej. Przepraszam, ale to naprawdę nie jest czas na rozmowę o...

Jednak niedane było jej dokończyć.

- Dlaczego?

- Nie mogę. Ta sprawa z góry jest przegrana. Nie chcę mieć później na sumieniu tego chłopaka tylko dlatego, że nie byłam w stanie go obronić.

- Przegrana? – Nie dawała za wygraną Margaret.

- Zgwałcił i zamordował młodszą siostrę. Wszystkie dowody wskazują na niego. Mamy naocznego świadka. To nie ma sensu!

Akta wypadły z jej roztrzęsionych dłoni.

- Nie chcesz mieć na sumieniu tego chłopca, czy może nie chcesz mieć na sumieniu porażki, którą jak sama zakładasz mogłabyś ponieść? Bronisz swojej nieskazitelnej kariery Elizabeth. 99% wygranych spraw, nie możesz przecież pozwolić na zrujnowanie statystyk, czyż nie?

- O czym ty w ogóle mówisz?! Margaret czy ty się w ogóle słuchasz? – Słowa, które właśnie usłyszała rozcinały ją od wewnątrz jak nóż. Nie chciała się z tym pogodzić, ale gdzieś w głębi wiedziała, że taka właśnie jest prawda. Nie broniła swojego sumienia. Starła się uchronić przed ewentualną porażką, wstydem i wystawieniem na krytykę mediów.

- Lizzie, zanim wyjdiesz z tego biura chcę żebyś przypomniała sobie, dlaczego w ogóle zdecydowałaś się zostać adwokatem. Zostałaś nim, żeby bronić interesów konkretnej jednostki, a nie własnej reputacji, a spójrz na siebie. Zastanów się nad tym, co chcesz właśnie zrobić, nim będzie za późno. – Po tych jakże ostrych słowach wstała i opuściła pomieszczenie równie szybko, co się w nim znalazła.

Elizabeth ukryła twarz w dłoniach biorąc kilka głębokich wdechów, starając się w ten sposób powstrzymać łzy. Bolesne wspomnienia z dzieciństwa, które nawiedzały ją w snach powróciły do niej w tym momencie i stanęły tuż przed jej oczyma. Były tak wyraziste, realistyczne, że czuła się, jakby znowu tam była. Mała, przestraszona dziewczynka wpatrująca się opuchniętymi od łez, czerwonymi oczyma jak jej ojciec eskortowany jest przez dwóch policjantów. Zakłuty w kajdanki, spinające jego dłonie i nogi, pozbawiony godności. Patrzyła jak odprowadzają go do samochodu, wsiadają, a on po raz ostatni ma okazję spojrzeć na twarz małej dziewczynki, stojącej przed frontowymi drzwiami domu. To był ostatni raz, kiedy go zobaczyła. Tydzień później został skazany na śmierć, a ona odesłana do ciotki, która zresztą na co dzień traktowała ją jak powietrze. Wtedy właśnie postanowiła, że będzie studiować prawo, że zostanie adwokatem. Obiecała sobie, że będzie bronić ludzi, dla których sprawiedliwość zamykała się w błędnym kole, nie pozwalając tym samym na uczciwy proces, a czasem nawet skazując za niewinność,

przy ewidentnym braku istotnych dowodów, tylko dlatego, że ktoś musiał odpowiedzieć za zbrodnię. Tak właśnie stało się z jej ojcem.

Mocniej zacisnęła powieki, spod których popłynął nowy strumień łez i przypomniała sobie o tym, co się wydarzyło. O mężczyźnie, który włamał się w chłodną, listopadową noc do ich domu, planując go zrabować. Przypomniała sobie jak matka chciała go powstrzymać... ale on był silniejszy. Kilkoma prostymi uderzeniami powalił ją na podłogę. Zaczął kopać i krzyczeć. Zaledwie 7 letnia Elizabeth schowana pod łóżkiem w pokoju rodziców wpatrywała się w tę okrutną scenę, zatykając dłońmi usta i błagając Boga o pomoc. Pomoc, która nadeszła, ale okazała się być nieskuteczną. Do domu wrócił ojciec, który usłyszał przeraźliwe krzyki, dobiegające z półpiętra. Pobiegnął na górę i zobaczył swoją ukochaną żonę, leżącą w kałuży krwi, a nad nią zamaskowanego mężczyznę. Bez chwili zastanowienia rzucił się na niego. Obijali się o ściany, a małe obrazki Lizzie, oprawione w ramki i zdjęcia rodzinne roztrzaskiwały się z hukiem na podłodze jedno po drugim. Drzwi do pokoju dziewczynki wypadły z zawiasów i połamały się na kilka części. Napastnik wykorzystując chwilę nieuwagi przeciwnika podniósł jeden z nich i uderzył go w głowę na tyle mocno, że ten bezwładnie osunął się na podłogę.

- Pozwól, że opowiem ci coś o prawdziwym świecie. W nim, biali zawsze wygrywają. – Po tych słowach splunął na nieruchome ciało i zbiegł na dół.

Wspomnienia tej tragicznej nocy odcisnęły piętno na Elizabeth. Przestała ufać ludziom, których do tej pory zwykła uważać, za ucieleśnienie dobra. Niegdyś wesoła i otwarta dziewczynka stała się zamkniętą w sobie, małomówną istotą, która na wszystkich patrzyła spode łba w obawie, że znowu zostanie skrzywdzona. Ojciec był teraz jej całym światem, więc gdy kilka dni później został niesłusznie posądzony o morderstwo żony i skazany na śmierć, jej cały świat legł w gruzach. „Przecież tam byłam! Widziałam...” – powtarzała sobie za każdym razem, przeklinając swoją bezradność. Była, widziała, ale kto by uwierzył dziecku?

Nagle całe pomieszczenie przeszył dźwięk telefonu. Aż podskoczyła na fotelu, zdezorientowana i niepewna. Postanowiła nie odbierać. Wiedziała, że ma coś ważniejszego do załatwienia. Wiedziała, że musi jechać do więzienia i postarać się odkręcić to, co zaczęła. Wiedziała, że musi przyjąć tą sprawę.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

independent04, dodano 06.02.2010 10:45

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.